

## DYSKUSJE I POLEMIKI

### **Odpowiedź na recenzję Jarosława Centka, Marcina J. Mikulskiego, Tomasza Woźnego, *Kompilatorska wojna trzech cesarzy***

Opublikowana w 2013 r. przez wydawnictwo „Carpathia” książka pod pełnym tytułem *Karpacka wojna trzech cesarzy. Z działań wojennych I wojny światowej na lądzie i w powietrzu* miała być przyczynkiem, który — w miarę możliwości — dokona przeniesienia na grunt współczesnej historiografii historii działań militarnych na terenie Galicji w 1914 i 1915 r. Nieco szerzej zostały potraktowane niektóre epizody z walk prowadzonych na lądzie i w powietrzu, ale bynajmniej nie stawiała sobie ona za cel dokonanie szerokiej syntezy tych działań. Jest to bowiem w chwili obecnej, przy dzisiejszym stanie badań i wiedzy na temat Wielkiej Wojny w Europie Środkowo-Wschodniej, zadanie niezwykle trudne — raczej polecane grupie badaczy niż jednej osobie. Doskonałym przykładem podjęcia takiej próby jest synteza Juliusza Batora *Wojna Galicyjska. Działania armii austro-węgierskiej na froncie północnym (galicyjskim) w latach 1914–1915*. Jest ona w zasadzie pierwszą tego typu pracą we współczesnej polskiej historiografii. Podziwiać należy zatem autora, który podjął się realizacji tak trudnego zadania, mimo iż — jak to często przy syntezach bywa — i on nie uniknął błędów czy uproszczeń.

Ogłaszane drukiem recenzje — tym bardziej te, które publikowane są w uznanych czasopismach — zazwyczaj mają kilka celów, a zwłaszcza dwa naczelne: 1) informację o nowych publikacjach naukowych (wobec ich liczby i często małych nakładów funkcja ta nabiera ostatnio bardzo ważnego znaczenia), 2) oraz rzetelne ustosunkowanie się do prezentowanych przez autora/autorów tez. Trudno jednak *sine ira et studio* podchodzić jakiemukolwiek autorowi do takiej recenzji, jaka została zamieszczona w periodyku „Dzieje Najnowsze” (r. XLVI: 2014, z. 3, s. 213–235), sygnowana trzema nazwiskami: Jarosław Centek, Marcin J. Mikulski oraz Tomasz Woźny. Co więcej, o ile pierwszy z nich jest uznanym badaczem dziejów wojskowych, o tyle dwaj pozostali są mniej znani w środowisku naukowym. Nie mając zatem doświadczenia w pisaniu prac o większym zakresie objętościowym niż komunikaty i parunastustronicowe artykuły, w swojej recenzji wypowiadają się nad wyraz ostro, pretendując do roli autorytetów w omawianym zakresie. Z kolei konkluzja ich wywodów jest nie tylko odważna, lecz wręcz obraźliwa nie tylko dla mnie, ale i całego środowiska Uniwersytetu Rzeszowskiego (nie wspominając o recenzencie pracy, śp. dr. hab. Jeremiaszu Ślipcu, prof. AON, który był uznanym autorytetem w swojej dziedzinie nauki).

Na pozór recenzja J. Centka, M. J. Mikulskiego i T. Woźnego zarówno pod względem objętości, jak i formułowania tez wydaje się nad wyraz zwarta i solidna. Liczne enumeracje

przykładów moich błędów i braków warsztatowych, potknięć stylistycznych czy wręcz niekompetencji pozostawiają czytelnika z wrażeniem, że wykonali oni rzetelną i żmudną pracę. Tym bardziej że autorzy wielokrotnie podkreślają, iż wybrali jedynie przykłady opisywanych przez siebie mankamentów mojej książki, których — według nich — jest zdecydowanie więcej. Jednak uważny czytelnik tej recenzji zauważy, że jej autorzy skupili się na ukazaniu „festiwalu błędów” (aby użyć chyba niefunkcjonującego w języku polskim określenia, którym się posługują na s. 219), uważając, że strona stylistyczno-graficzna jest podstawą do wystawienia książce miążdżącej opinii, tym bardziej jeśli argumenty tej natury wzmocnione zostaną przykładami innych błędów popełnionych przez autora. Sami recenzenci o przyjętej przez siebie metodzie pracy piszą w podsumowaniu swoich wywodów, zaznaczając, że „wytropienie i sprostowanie wszystkich błędów warsztatowych, merytorycznych i stylistycznych wymagałoby praktycznie napisania tej książki na nowo” (s. 234). Tymczasem, przyjmując z całą pokorą część słusznych uwag autorów co do błędów i chyląc czoło przed pracowitością w ich zbieraniu oraz uwypuklaniu, mam wrażenie, że zapomnieli o kilku ważnych elementach każdej recenzji. O ile autorzy próbują odnosić się do wykorzystanych przeze mnie materiałów zarówno archiwalnych, wspomnieniowych, jak i szerokiej literatury, o tyle czytelnik nic się z niej nie dowie na temat struktury mojej książki (na ile jest ona spójna i klarowna, a na ile nie), przyjętych założeń metodologicznych oraz tego, czy zostały poczynione nowe ustalenia czy też nie. Czytelnik też nic się nie dowie o celach mojej książki, wśród których zaznaczyłem dwa: 1) próbę wzbogacenia dotychczasowego stanu wiedzy o genezie, przebiegu i skutkach Wielkiej Wojny w Karpatach, 2) pobudzenie do refleksji nad zapomnianymi bohaterami tamtych dni, których groby rozsiane są często w niedostępnych albo — odwrotnie — w znanych miejscach, „w których jakże często spędza czas wolny pieszy i zmotoryzowany turysta” (o czym piszę we wstępie na s. 26).

Trudno mi się odnosić do licznych przykładów błędów przytoczonych przez autorów recenzji. Jak już zaznaczyłem, wiele z nich wynika z mego pośpiechu, niekiedy faktycznie nieco chaotycznego stylu lub nie do końca udanej współpracy z redakcją wydawnictwa i redaktorem technicznym. Za to ponoszę pełną odpowiedzialność. Ale trudno mi się zgodzić ze wszystkimi zarzutami, zwłaszcza że już pierwszy podrozdział recenzji *Wstęp, czyli metodologia powstawania „Karpackiej wojny trzech cesarzy...”* nic nie mówi o metodologii. Myślę, że autorzy sami ukazali, że pojęcia tego nie rozumieją, bo... omawiają w tym fragmencie wykorzystaną przeze mnie literaturę. Zresztą trudno to nazwać nawet omówieniem źródeł i literatury, gdyż całość ma zaledwie kilkanaście zdań (łącznie z akapitem wprowadzającym), sami zaś recenzenci enigmatycznie odnoszą się do tego, na ile wykorzystane przeze mnie źródła i literatura są właściwe czy nie. Przypominam, że już w tym fragmencie, mającym za zadanie odnieść się do metodologii, po prostu ogólnie zaznaczają, że praca ma charakter czysto kompilatorski i chaotyczny. Tak przyjętą tezę konsekwentnie realizują — to recenzentom trzeba przyznać.

Zdziwienie budzi fakt, że autorzy recenzji kwestionują korzystanie przeze mnie z opracowań obcojęzycznych, które zostały użyte w różnorodnych tekstach. Przetłumaczone i opublikowane, dają możliwość wszechstronnego wykorzystania i licznego odwoływania się w różnych, stosownych miejscach. Tak też wielokrotnie robiłem, oczywiście z podaniem źródła, jak zauważyli sami recenzenci. Nie oznacza to wcale, że autor nie sięgnął po oryginalne źródła. Skoro jednak książka przeznaczona była dla szerokiego czytelnika — nie tylko dla wąskiego grona historyków wojskowości — przejrzystej było odwołać się do opublikowanych polskich tłumaczeń. Wielokrotnie w swoich pracach wykorzystywałem źródła, które tłumaczone na język polski znalazły się następnie w różnorodnych opracowaniach. Wcale nie uważam tego za niestosowne. Co więcej, specjalista z danej dziedziny powinien wiedzieć, czy, w jakim stopniu i na ile dobrze źródła, z których korzysta, stanowiły już podstawę

innych prac oraz czy znalazły się w obiegu naukowym właśnie poprzez ich druk. To jeden z ważnych aspektów pracy ze źródłami: nie wyważa się drzwi, które ktoś już za nas otworzył. Co więcej, znajomość oryginału i przedruku pozwala zauważyć i docenić pracę tłumaczy i historyków, a także odnieść się do ich jakości. To przecież jeden z elementów warsztatu historyka, którego brak tak mi zarzucają recenzenci.

Cytowanie wspomnień Ferenca Molnara w mniej czy bardziej przydługich fragmentach jest raczej kwestią ich doboru, który uważam za właściwy, podobnie jak samego autora, który w literaturze wspomnieniowej nie ma sobie równych dla omawianego okresu. Dlatego zarzut, że „niedawne polskie wydanie książkowe zbioru jego frontowych korespondencji pozwoliło autorowi na wyjątkowo swobodne i obfite korzystanie z tego źródła” (s. 213) brzmi, tym razem dla mnie, „kuriozalnie” (to zresztą ulubione słowo autorów recenzji). Myślę, że opublikowanie *Galicji 1914–1915* F. Molnara sprawiło wszystkim zainteresowanym sporą radość, do której się w oczywisty sposób przynaję. A pisane na bieżąco dla budapesztańskiej bulwarówki „Est” reportaże z terenów prowadzonych w tym okresie walk są kapitalne i pod względem merytorycznym, i emocjonalnym. Inna rzecz, że F. Molnar to korespondent na tyle znany, który tak mocno przyczynił się do wykreowania obrazu Wielkiej Wojny wśród czytelników zarówno współczesnych, jak i potomnych, że był przedmiotem wielu studiów. Zatem, owszem, korzystałem z jego wypowiedzi wielokrotnie, ale zawsze świadomie i celowo.

Autorzy zarzucają mi, że podaję pisownię nazw geograficznych w różnych językach, w których odmiennie funkcjonują. Tego typu założenie jest przeze mnie stosowane konsekwentnie od lat. Choć może z tego powodu narażam się na śmieszność lub na zarzut przesady, wcale nie odczuwam dyskomfortu, gdyż oczywistością jest to, że w Europie Środkowej różne miejscowości miały różne nazwy i były określane nawet przez własnych mieszkańców inaczej. Dlatego np. Kassa Sándora Máraia to jednak nie Košice jego chłopskich czy robotniczych sąsiadów słowackich. Problem używania właściwych nazw dla miejscowości Europy Środkowej jest zresztą o wiele szerszy i semantycznie, i mentalnie. Może jestem hiperpoprawny, ale przynajmniej czytelnik nie zawsze zorientowany w panującym nazewnictwie nie będzie miał powodów do złudzeń. Wielojęzyczną pisownię nazw własnych stosuję raz, a dalej już w miarę możliwości jedną. To nie uwolniło mnie rzecz jasna od błędów, takich jak wymienione przez autorów umiejscowienie np. Makiwki jako miejscowości. Jednak w samym indeksie znajduje się łącznie 1335 nazw geograficznych, nie licząc 184 pisanych cyrylicą, zatem jeden błąd na tyle innych poprawnych nazw nie jest chyba aż tak dużym uchybieniem. Co więcej, chciałem podkreślić, że jeżeli w tekście cytowanym występuje inna pisownia nazwy własnej, należy to na wstępie zasygnalizować, co też uczyniłem i – czy to się komuś podoba czy nie — ma to bardziej funkcjonalny charakter, który ułatwia korzystanie z książki. Często przecież czytelnik zainteresowany historią lokalną sięga właśnie po publikację, szukając znanych mu miejscowości, i na nich koncentruje uwagę. Myślę, że również i autorom recenzji zamieszczony indeks pozwolił na szersze zaznajomienie się z treścią, bo przecież sam styl pisania, jak raczyli zauważyć, musiał zniechęcić do przeczytania całości. I tu przykład podejścia recenzentów do mych rzekomych licznych błędów. Po analizie indeksu triumfalnie dopatrzili się braku współczesnej nazwy Rychwałdu, czyli Owczarowa. Chciałbym zaznaczyć, że zmiana nastąpiła w 1946 r. Naturalnie wybrałem niefortunne określenie: *Indeks miejscowości*, zamiast *Indeks nazw geograficznych*, co wprowadziło niepotrzebne zamieszanie, ale tego już nie zauważyli!

Autorzy recenzji w kwestii nazewnictwa za najbardziej rażące uznali użycie pojęcia Cesarstwo Austro–Węgierskie, uważając jednocześnie za konieczne przypomnienie, że nazwa C.K. to Przedlitawia i Zalitawia. Zarzut niepoprawności merytorycznej wkracza wręcz w sferę niewiedzy, bo czytamy: „Sformułowanie tego rodzaju wypływające z nieświadomości faktu...” (s. 222). To dziwne, gdyż nieco wcześniej (a dokładniej — pięć linijek) moż-

na przeczytać: „naddunajska, dualistyczna monarchia (K.u.K. — c.k.) znalazła znakomity pretekst do konfliktu z jej rywalem (s. 222)”. Oczywiście, że należało konsekwentnie posługiwać się ujednoczoną nomenklaturą, ale autorom nie chodziło o ten fakt, ale jedynie o drobiazg. Odnoszę wrażenie, iż pragnęli za wszelką cenę znaleźć błędy świadczące o mojej niekompetencji.

W niektórych przypadkach nadmierna szczegółowość potraktowana jest jako zarzut, m.in. podanie składu rady miasta Sanoka, skądinąd bliskiemu memu sercu. O ile mnie praktyka badawcza i czytelnicza nie myli, tzw. studia przypadku są w tej chwili, również w historiografii polskiej, popularnym i uznawanym sposobem ukazywania albo charakterystycznych przykładów dla danego procesu, albo odwrotnie — odstających od reguły. Zaoszczędza to nam czasu i miejsca, a książka przecież i tak jest obszerna. Co więcej, Sanok wybrałem nie tylko z pobudek sentymentalnych, ale i ze względu na rolę, jaką odgrywał w czasie konfliktu, i fakt cierpień, których doświadczyła w latach 1914–1915 jego ludność. Gdy wystarcza wiedzy, można przecież omówić jakieś zagadnienie na konkretnym przykładzie. To nie oznacza, że należy to czynić w każdym wypadku. Równie dobrze można by tego zabiegu dokonać w stosunku do Radymna, Jarosławia czy Tarnowa. Oczywiście praca zmieniłaby wówczas swój charakter.

Zupełnie niezrozumiałe są rozważania autorów recenzji dotyczące kwestii przemyskiego złota, której poświęcili aż dwie strony, podczas gdy ja jedynie wzmiankowałem ten problem, bardzo przecież charakterystyczny dla losów Twierdzy Przemyśl, szczególnie w tragicznym okresie jej kapitulacji. Pokazałem tylko źródło, obficie je zresztą cytując, i chyba jako pierwszy upubliczniając je w całości ze względu na to, że wyjaśnia zagadkę złota twierdzy, o którym krążyły liczne legendy. Zaprezentowane w pełni po raz pierwszy w 2013 r. źródło broni się jednak samo. Nie rościłem sobie prawa niczego tu odkrywać, a tym bardziej prowadzić spekulacji dotyczących możliwości wywozu, pobytu, ilości, wielkości..., bo tego nie wiem albo przynajmniej nie spotkałem się z takim źródłem. Jeżeli je odnajdę, z pewnością opublikuję dla powszechnego dobra. Uważnego czytelnika tej recenzji odsyłam faktycznie na sugerowaną przez autorów stronę 337. Omawiane tam wydarzenia odnoszą się do dni kapitulacji Twierdzy i ostatnich lotów z niej. Oblt. Fp. W. Schreiber dostał rozkaz wywieźć w trakcie dwóch lotów, jak sam napisał: „złoto w sztabach”. Jakie to były sztaby? Czy może sztabki? Jak duże? Jak ciężkie? Ile ich było? Jaką miały wartość? Czy w Twierdzy Przemyśl było ich tyle, co w Krakowie? Na jakie cele miało iść złoto, do czego miało służyć? Cytując źródło, otrzymujemy zatem wiedzę od człowieka, który wykonał oficjalny rozkaz. Informacja o jego wykonaniu ma charakter oficjalny, musiał się bowiem liczyć z opinią i wiedzą swoich przełożonych. Z treści tego meldunku wynika, że po to został wysłany. Pisze: „miałem dostarczyć chininę i wywieźć złoto w sztabach”!!! Czy ktoś od czasów Wielkiej Wojny — pierwszej wojny światowej — opublikował ten dokument? Podał do publicznej wiadomości jego treść? Ile było spekulacji na temat złota z twierdzy? Ile sensacji wokół tego narosło? Czy miałem z nimi polemizować? Przecież nie o to tutaj chodzi!

Z wieloma argumentami zawartymi w recenzji nie mogę się nie zgodzić, bo recenzenci niejednokrotnie mają rację — jako przykład niech posłuży zapis rosyjska 2. Armia (s. 227) w wojnie galicyjskiej. To zupełnie niezrozumiały błąd i — nie ma co ukrywać — żadna literówka, tylko absolutnie omyłkowe wpisanie 2. w miejsce 4. Armii rosyjskiej na omawianym teatrze działań wojennych. Jednak tego typu argumenty same w sobie nie trzymają się logicznej całości. Jak wcześniej wspominałem, książka ma podtytuł *Z działań wojennych I wojny światowej na lądzie i w powietrzu*, tak więc koncentruje się na niektórych wątkach w sposób bardziej szczegółowy, na innych bardzo ogólny. Z tego powodu czyniony jest mi zarzut. Dla odmiany w recenzji przeprowadzony został wywód do tematu, który w książce jest tylko pochodną stwierdzenia jednego faktu w oparciu o w pełni zaprezentowane źródło — relację Oblt. Fp. W. Schreibera.

Trudno odpowiadać na taką masę zarzutów, w których miesza się aż tyle emocji i ostrych słów dyskredytujących zarówno książkę, jak i moje wykształcenie, a także merytoryczne przygotowanie. Myślę jednak, że archiwa wiedeńskie, z których korzystam, tłumaczę i publikuję, są dostępne nie tylko dla recenzentów, zatem owoce naszej pracy bywają weryfikowalne i sprawdzalne. Bynajmniej nie uzurpuję sobie prawa do nieomyślności lub wszechwiedzy na temat źródeł znajdujących się w Wiedniu. Trzeba je systematycznie odkrywać i upubliczniać, a ich bogactwo i różnorodność powodują, że cieszą się niesłabnącą popularnością od lat. Wykorzystane przeze mnie wszystkie Manuskripte Luftfahrtruppen ze zbiorów Österreichisches Staatsarchiv–Kriegsarchiv staram się w miarę możliwości publikować w jak najobszerniejszej formie. Dzięki temu następnii badacze będą mieli ułatwione zadanie i wykorzystają czas przeznaczony na bardzo przecież kosztowną kwerendę w Wiedniu na poszukiwanie nowych materiałów. I o to chyba chodzi. Autorom recenzji nie podobają się obszernie cytaty. Kwestia gustu. Mają one jednak dużą wartość poznawczą i możliwość wszechstronnego później wykorzystania. Dlatego stosuję nie tylko obszernie cytaty, ale i rozbudowane przypisy, dając jednocześnie czytelnikom możliwość odwołania się do zaznaczonych fragmentów. Sami Panowie mogą przecież jako prowadzący kwerendy w Österreichisches Staatsarchiv–Kriegsarchiv zweryfikować te dane. Moje najwcześniejsze badania dotyczyły historii austriackiego lotnictwa i jego walk na terenie Galicji, stąd też najlepiej jak na razie opanowałem ten zasób źródeł. Następne badane przeze mnie zespoły w miarę możliwości również będą upubliczniane w tej formie.

Irytujący jest z całą pewnością zarzut przywłaszczenia sobie czyjejś własności intelektualnej. Można się o wiele spraw spierać, wszystko jest jednak kwestią wyczucia. Autorzy na s. 232 odnoszą się do braku odniesień i przypisów, twierdząc, iż treść artykułu np. dra Jarosława Centka stała się podstawą do napisania „rozdziału VI *Gorlickie przełamanie i wyzwolenie Galicji* od s. 436 do 443”. Dodam tylko, że treść ta odnosi się do walk w rejonie miejscowości Staszówka w dniu 2 V 1915 r. Problematyką ta zajmował się dr J. Centek, który w materiałach z konferencji *Znaki Pamięci III — śladami I wojny światowej*, wydanych w Gorlicach w 2010 r., opublikował artykuł *Szturm pruskiej gwardii na Staszówkę 2 maja 1915 r.*, z którego korzystałem przy pracach nad rozdziałem VI mojej książki, wykorzystując jego treść i cytaty, w tym cytowane przez autora źródła wspomnieniowe. Osoba autora i podana pozycja wymienione zostały w bibliografii w pełnym brzmieniu na s. 436 i w przypisach na każdej stronie od 436 do 443, oczywiście już w formie skróconej J. Centek, op. cit. i numer strony. Są to odniesienia do ustaleń dr. J. Centka z szerszym wykorzystaniem niektórych cytowanych przez niego źródeł, do których udało mu się dotrzeć. Pan dr J. Centek pisał artykuł monograficzny dotyczący jednej bitwy, ja rozdział, w którym takich wątków jest co najmniej kilkadziesiąt. Za każdym razem podawałem konkretnie źródło wraz ze stronami, z których korzystałem. Z kolei obszernie przypisy, w których cytowałem poszczególne relacje dotyczące bitwy, miały na celu uwypuklenie szerszego jej kontekstu.

Podobnie sytuacja ma się z dwoma artykułami mgra Pawła Kukurowskiego: *Udział 11 bawarskiej Dywizji Piechoty w walkach w Beskidzie Niskim w 1915 r.*, zamieszczonym w II części *Materiałów z międzynarodowej konferencji Znaki Pamięci — śladami I wojny światowej*, wydanej w Gorlicach w 2009 r., oraz *Wrocławianie pod Gorlicami. Działania niemieckiej 82 Rezerwowej Dywizji Piechoty w dniach 2–6 V 1915 r.*, zamieszczonym w III części *Znaków Pamięci — śladami I wojny światowej*, Gorlice 2010. Obydwie publikacje wymienione są w bibliografii na s. 539. W przypisach nastąpiło natomiast odwołanie do artykułu *Wrocławianie pod Gorlicami. Działania niemieckiej 82 Rezerwowej...*, co zasygnalizowane zostało na s. 420, z powtórzeniem, jako op. cit., na s. 422. Zabrakło natomiast odwołania do drugiego artykułu mgra P. Kukurowskiego o królewskiej 11. Bawarskiej Dywizji Piechoty na s. 429, przez co, jak słusznie zwracają uwagę autorzy na s. 233 recenzji, zrobiło się zamie-

szanie. I o ile w tym wypadku przeoczony został przeze mnie podczas korekty fakt odniesienia do drugiego artykułu, co uznaję za błąd, o tyle jednak założenie, że tylko autor Paweł Kukurowski mógł korzystać z mimo wszystko dostępnych publikacji, takich jak O. Tile von Kalma *Gorlice* z 1930 r., wydaje się już przesadne. Akurat ta publikacja jest osiągalna nie tylko w bibliotekach, ale często w zbiorach prywatnych. Co do zarzutu skompilowania prac Jacka Galiszewskiego, Sławomira Błażewicza i Jerzego Tomasika, chciałbym nadmienić, że na wspomnianych przez recenzentów stronach wszędzie znajdują się odniesienia do ich artykułów (s. 233 recenzji). Zatem zarzut „odpisywania” od nich bez podania źródła jest absurdalny. Podobnie sytuacja ma się z pracami Sławomira Kułacza, gdzie zarzut plagiatu w przypadku zestawienia dokonanego na s. 13–14 opracowania *Okolice Leżajska i Sieniawy w przededniu i podczas I wojny światowej*, Leżajsk 2008, jest już po prostu nietaktem. Zestawienie jednostek c.k. armii podane zostało na wybranym rejonie Galicji, w tym wypadku konkretnie na przykładzie Leżajska i Sieniawy. Zestawienie zrobił S. Kułacz, co z kolei ja w przypisach 33 i 34 na s. 40–41 uczciwie zaznaczyłem. Zatem zarzut „spożytkowania niemałej części publikacji S. Kułacza” (s. 233 recenzji) bez odwołania się do niej jest także chybiony. Tak jest również w przypadku s. 468–469 z mojej książki, gdzie jakoby zmuszam czytelnika do wyteżenia wzroku w poszukiwaniu kosmetycznych zmian między moim tekstem a artykułem S. Kułacza. Nawet mało uważny czytelnik bez problemu znajdzie odniesienie do cytowanej książki — znajduje się ono na końcu przypisu nr 151 na s. 469. Z kolei zgodzić się muszę z zarzutem, że zapisy przypisów 144 i 145 ze s. 117 są technicznie źle skonstruowane, co zostanie poprawione w przypadku kolejnego wydania książki. Pomyłka techniczna nastąpiła również w przypadku zapisu przypisu 56 na s. 74 oraz przypisu 63 na s. 78. Wymienione przez autorów recenzji strony z podanego przeze mnie jednak monumentalnego opracowania autorstwa J. Dąbrowskiego są właściwe.

Chciałbym jednak odnieść się do kwestii, jakobym „przepisywał” obszerne fragmenty z książki Juliusza Batora. Dostęp do wiadomości, które autor zawarł w swojej publikacji, jest możliwy nie tylko za jej pośrednictwem. Autor, jako jeden z pierwszych, dokonał obszernej syntezy działań w pierwszej wojnie światowej na obszarze Galicji i z przyczyn oczywistych stanowi ważny punkt odniesienia w badaniach historyków wojskowości — nawet jeżeli nie zawsze odwołują się oni do stron, na których zawarł swoje ustalenia natury ogólniejszej. Mój błąd — zdaniem autorów recenzji — polega na tym, że za każdym razem hiperpoprawnie powinienem odwoływać się do każdej myśli J. Batora. Ze względu na szacunek, jakim Go darzę, robię to często, choć może nie aż tak często, jak chcieliby recenzenci.

Kuriozalnie brzmi zdaniem autorów polska pisownia nazwiska Jana Szczepkowskiego w zestawieniu z pisownią niemieckojęzyczną Johann Ritter von Szczepkowski, której używam na przemian, podczas gdy tego znakomitego architekta w niemieckojęzycznym brzmieniu wymieniam raz, i to w zestawieniu z pozostałymi powołanymi do prac nad nekropoliami, gdzie wszystkie nazwiska przytoczone są w oryginalnej pisowni. Recenzentom nie podoba się pochYLENIE stoku cmentarza Nr 8 w Nowym Żmigrodzie. Są stoki równe i równiejsze. Im wydał się on bardziej równy. Warto jednak pojechać w ten rejon, popatrzeć na nachylenie zboczy i sprecyzować, czy to stok, czy nie stok. Nie wiem, co sądzić o argumentach dotyczących cmentarza w Jaśle, w stosunku do którego na s. 515 napisałem: „Jest to ewenement w cmentarnictwie na terenie województwa podkarpackiego i bodaj jedyny wyłącznie żydowski cmentarz wojenny z tego okresu”. Nie wiem, cóż tak zirykowało recenzentów? Jaki jest sens podkreślania roli cmentarza w Zakliczynie, który faktycznie znajduje się na terenie województwa małopolskiego, skoro wymieniam tylko samodzielny cmentarz żydowski w Jaśle, będący poza tym województwem?! To samo, gdy chodzi o kwatery żołnierzy żydowskiego pochodzenia w Rymanowie. Przecież takich sytuacji jest więcej, a jasielska nekropolia na terenie właśnie województwa podkarpackiego stanowi wyjątek. Zresztą sami autorzy przyzna-

ją, że na innych stronach kwestie te są również przeze mnie wymieniane. Już przynajmniej w tematyce cmentarnej starałbym się o chwilę powagi. Na cmentarzu w Nowym Żmigrodzie wśród wśród grobów są i rosyjskie pod krzyżem „patriarszym”. Powszechne jest jednak określenie dla tych krzyży „prawosławne”, i... tak też napisałem. Jednak wyjaśnienia stosownej stylistyki krzyża na rosyjskich cmentarzach przyjęte przez Duszana Jurkoviča wyjaśniłem, i to wydaje mi się dosyć obszernie, na s. 514, na co zresztą sami autorzy zwrócili uwagę. Zrobiłem to jednak nie po to, aby dokonywać inwentaryzacji krzyży na cmentarzach z okresu Wielkiej Wojny, ale raczej by wskazać na swoistą poprawność polityczną zastosowaną przez D. Jurkoviča.

Autorzy tak piszą o ostatnim rozdziale, będącym *de facto* zakończeniem, choć celowo uniknąłem tego pojęcia: „Chaotyczny jest cały ostatni rozdział książki, który sprawia wrażenie skleconego z materiałów z różnych wątków, niepasujących w pozostałych rozdziałach. Sam opis cmentarzy wojennych pozostałych po działaniach wojennych byłby jak najbardziej na miejscu, nawet w połączeniu z opisem niedoli ludności cywilnej, ale to, dlaczego został on wmieszany ze szczegółowym omówieniem działań wojennych rejonie Brzozowa, pozostanie tajemnicą autora” (s. 230). Po pierwsze, tytuł tego rozdziału brzmi *Historyczne i literackie post scriptum*. To właśnie dopiski sprawiają wrażenie niespójności, co jest oczywiste, bo taki jest urok i przeznaczenie *postscriptum* w każdym przypadku. Tak więc pierwsza część *postscriptum* brzmi *Galicyskie obrazy 1914/1915, czyli krajobraz po bitwie*, druga zaś *Biorąc do ręki „Przygody dobrego wojaka Szwejka”...* W pierwszej dopisany został fragment o Ziemi Sanockiej i jej ludności w omawianym okresie, w drugim ukazałem teren Galicji jako miejsce akcji powieści Jaroslava Haška. Są to, jak zostało zaznaczone w tytule rozdziału, dopiski, stąd zrozumiała niespójność, która przecież odnosi się do wstępu, w którym odwołuję się do problemów pamięci o pierwszej wojnie światowej. A że tam nie prowadzę szczegółowych dywagacji na ten temat, bo to niezwykle obszerne zadanie, więc i w podsumowaniu problematykę tę jedynie zaznaczam, posługując się różnymi przykładami. Wyjaśniając, dlaczego bardziej szczegółowo potraktowałem działania w rejonie Brzozowa, informuję, iż pochodzę z Grabownicy Starzeńskiej koło Brzozowa. Zresztą wydaje mi się, że wszyscy trzej recenzenci, którzy przecież zajmują się tą tematyką, mieli tego świadomość, pisząc te słowa.

Podsumowując moją odpowiedź na wywody J. Centka, M. J. Mikulskiego i T. Woźnego, uważam, że przede wszystkim opublikowana przez nich recenzja jest bardzo uszczypliwa, momentami złośliwa, a niekiedy wręcz przekraczająca w swoich insynuacjach granice przyzwoitości. Napisana została ponadto z tezą, którą autorzy starają się realizować konsekwentnie na kilkudziesięciu stronach, podporządkowując jej wszystkie swoje wywody — nawet te, które trudno obronić. Nie przeczę, że praca nie jest doskonała i bezbłędna. Wydaje mi się jednak, że mnogość błędów stylistyczno-graficznych, na które nałożyły się też i inne uchybienia (jak zaznaczyłem, nie zawsze właściwie uwypuklone przez recenzentów), przysłoniły im inne walory książki i ukazały inny problem. Po przeczytaniu całości wywodów wymienionych wyżej recenzentów mam wrażenie, że ich głównym założeniem było zdyskredytowanie mnie. Dlatego m.in. napisali: „Autor zapragnął stworzyć monografię całości walk, obejmującą zarówno ich wymiar naziemny, jak i powietrzny” (s. 235). To założenie, które jako główny zarzut pojawiło się na wstępie recenzji, jest jednak zupełnym nieporozumieniem. Gdybym chciał pisać syntezę tych walk, to miałaby ona zupełnie inny tytuł. Dlatego *Karpacka wojna trzech cesarzy* ma podtytuł *Z działań wojennych I wojny światowej na lądzie i w powietrzu*. Taki tytuł świadczy o pokorze autora w stosunku do tematu i całości zagadnienia, ogromu źródeł i konieczności dalszych badań, w tym również źródłowych. To, że w książce wykorzystuję w największym stopniu bazę źródłową do historii lotnictwa, to chyba oczywiste. W tym się specjalizuję. Archiwalia do innych form ówczesnych walk, w tym te z Österreichisches Staatsarchiv–Kriegsarchiv, stopniowo poznaję i publikuję. Autorzy recen-

zji mają na pewno rację, pisząc, że w *Karpackiej wojnie trzech cesarzy* w wielu miejscach zszedłem na ziemię, stąpając po niej mniej lub bardziej dogłębnie, kierując kroki w miejsca jedne mniej, drugie bardziej znane — opracowane lub opracowywane. Do tego wykorzystałem, rzecz jasna, prace monograficzne bardzo wielu autorów, w tym również recenzentów, gdyż historiografia, pomimo wielu luk, ma już w tej kwestii spore osiągnięcia i trudno — jak już wcześniej zaznaczyłem — nie odnosić się do badań poprzedników. W stawianych przez autorów zarzutach, niekiedy słusznych, często się jednak gubię — mam bowiem wątpliwości, czy aby przynajmniej część z nich nie jest podszyta zjadliwością, chęcią ośmieszenia mnie czy wręcz zdyskredytowania. Polemika na takim poziomie, zwłaszcza z tak uwłaczającymi mojej osobie uwagami na zakończenie, osiągnęła w tym miejscu już taki poziom, że nie ma ona nic wspólnego z recenzjami naukowymi.

Andrzej Olejko  
Rzeszów